

## Stronnicy inflacji

Autor: **Adam Heydel**

Źródło: „Czas” 1923 nr 244

W połowie XVIII stulecia, w dobie inflacji, jaką przeżyły Stany Zjednoczone, powstało tam stronnictwo pieniądza papierowego, znane pod nazwą partii ludowej lub liberalnej; pod hasłem „więcej pieniądza” szło się do wyborów<sup>1</sup>. Do partii tej należeli dłużnicy, przedsiębiorcy, dzierżawcy, lokatorzy i wszyscy ci, którzy woleli nie płacić podatków. Spekulowali oni wszyscy na zniżkę pieniądza i potrafili realizować swoje postulaty, dłuższy czas utrzymując się u steru rządów.

W Polsce nie mamy jeszcze stronnictwa, które by otwarcie wywiesiło ten sztandar, nie dlatego, jakobyśmy się lepiej od Jankeśków znali na sprawach ekonomicznych lub rządzili się patriotyzmem wyższej próby. O nie! To raczej wynik *sui generis* „idealizmu” polskiej polityki, której kryterium nie były nigdy względy społeczno-ekonomiczne, ale raczej momenty uczuciowo-personalne. Nie według programów dzielą się u nas ludzie na stronnictwa, łączą w koalicje i przymierza, ale według silniejszych lub słabszych podejrzeń o działalność „na zgubę Polski”. Dlatego też podobne, identyczne niemal poglądy na inflację i naprawę skarbu znaleźć łatwo we wrogich sobie obozach. *Vox populi* rozgłośny jest jeden: „Naprawa skarbu za wszelką cenę!”. Minister skarbu stał się bohaterem dnia. On zbiera najwięcej w Polsce kwiatów uwielbień i dymów kadzideł, on także jest celem jadowitych, cuchnących nieraz pocisków. W sejmie i urzędach, na łamach gazet i w kawiarniach temat naprawy skarbu jest bodaj najpopularniejszy po informacjach giełdowych. Rozmowa o za mało pospiesznej „sanacji” to *otium* zasłużone po trudach szczęśliwie przeprowadzonej spekulacji w dolarach czy frankach szwajcarskich.

Niecierpliwość przypomina zapal bojowy młodocianych rekrutów przed bitwą. Ów harmonijny nastrój zewnętrzny może się wydać niespodziewanym komuś, kto zetknął się z zagadnieniami ekonomii. Stara, pocziwa teoria, która nie znała jeszcze kataklizmów waluty rosyjskiej, niemieckiej i polskiej, dla której

---

<sup>1</sup> Roman Rybarski, *Marka polska i złoty polski*, Warszawa 1922, s. 117.

deprecjacja pieniądza do 30 procent jego dawnej wartości była olbrzymia, a osiągnięcie 100 procent wartości nominalnej było po prostu katastrofą<sup>2</sup>, teoria ta sformułowała oczywisty i słuszny sąd o interesach różnych ekonomicznych grup ludności na wypadek spadku wartości pieniądza; grupy o dochodach stałych: robotnicy, urzędnicy, wierzyciele (dodajmy: skarb) — tracą. Grupy o dochodach elastycznych, producenci, handel — zyskują na wyższych cenach. Ten podział ludności *a priori* rozstrzygać powinien o ich stosunku do inflacji i do naprawy skarbu; on też stał się podstawą zgrupowania się partii ludowej w Stanach Zjednoczonych. Czyżby w Polsce miało być inaczej? I tak, i nie.

Dwa czynniki działają u nas w przeciwnych kierunkach: rozmiary i długotrwałość inflacji z jednej strony i pewien dowcipny wynalazek techniczny z drugiej. Gwałtowne i coraz gwałtowniejsze nachylenie, po którym stacza się marka w dół od pięciu lat, wprowadza tak wyraźny moment niestałości w elementy naszego życia gospodarczego, że już tylko najbardziej lekkomyślni optymiści dowodzić próbują, że wszystko jest na dobrej drodze. Ogół odczuwa pewien niepokój o przyszłość i ów niepokój właśnie jest powodem bezustannych nawoływań o naprawę skarbu. Ale ta troska ma charakter oficjalny, odświętny, ogólnospołeczny, na co dzień. Na własny użytek mamy inną filozofię. Coś tam „źle się święci”, „coś tam nie pachnie” — rozmyśla sobie obywatel Rzeczypospolitej nad kawą. Z pełnym spokojem oblicza, jeśli jest urzędnikiem, dodatki drożyzniane, które zagarnie w najbliższych tygodniach, z radością wita podniesienie się ceny żyta, jeśli mu Pan Bóg pozwolił być obszarnikiem, ze złośliwym uśmiechem mięsistych warg studiuje ostatnie skoki Jaworzna, Zieleniewskiego, a zwłaszcza dolara, jeżeli... jeżeli mu Opatrzność nie odmówiła całkiem... rozsądku.

I bodaj że nie ma człowieka na terytorium Rzeczypospolitej, który by w tych nowinach nie znalazł słodkiej pociechy i ukojenia, kto by sobie nie szepnął, składając gazetę: „jakoś to jednak będzie”. Wszystko to mamy zaś do zawdzięczenia prostemu w pomysłach i zaokrąglonemu w wypracowaniu jak jajko Kolumba wynalazkowi mnożnika. Wystarczyło wymyślić, że „wartość pieniądza jest funkcją czasu”, by stworzyć cudowne, zdawałoby się, panaceum na wszystkie dolegliwości inflacji. Wprowadzono mnożnik w pensjach urzędniczych i robotniczych, który sprawia, że kulejąc, doganiają jednak na ogół drożyznę.

---

<sup>2</sup> Największa notowana przed wojną europejską deprecjacja asygnat francuskich w czasie rewolucji doprowadziła w 1796 r. do spadku kursu 184 razy.

Wprowadzono w postaci walutowania mnożnik w kredycie, wprowadzono mnożnik w handlu, w którym cenę każdego ołówka, każdej główki kapusty przeliczono na dolary. Tak oto od baby wiozącej kurczęta na targ począwszy, poprzez detalistę i hurtownika przemysłowego, zawadzając po drodze o miejskiego robotnika i urzędnika, a kończąc na ministrze skarbu, gonimy dzień za dniem jeden za drugim, utrzymując się ostatecznie jakoś w przyzwoitej odległości. Nie ma wątpliwości, że, mówiąc językiem teorii, klęskę przesuwania się rozdziału dochodu społecznego złagodźliśmy dzięki temu przystosowaniu się w znacznym stopniu. Ci, którzy w innych wypadkach inflacji najbardziej od niej cierpieli, którzy przy rozmiarze naszej inflacji dawno umarliby byli z głodu, dzisiaj przywykli do niej tak, jak przywyknąć można do ciężkiej, nawet chronicznej choroby. A iluż jest takich, którzy odczuwają namacalne realne korzyści. Wahania cen, ich fale i skoki, wyrównujące się na dalszą metę, rozbiegają się jednak znacznie w krótszych odstępach czasu. Ileż tu sposobności do wyłapywania tych rozbieżności i chowania nadwyżek do kieszeni. Droga dla dzielnych, dla talentów, dla ludzi silnych i nieskrępowanych skrupułami moralnymi — otwarta! Droga do majątku w ciągu roku — w ciągu czasem kilku miesięcy. Budzą się zaś także szlachetniejsze namiętności. Jakże łatwo poprzez subwencje i kredyty rządowe, nie narażając się na walkę, na robienie komukolwiek przykrości wyciągania mu podatkiem pieniędzy z kieszeni, jakże łatwo rozwijać w Polsce kulturę materialną i moralną: szkoły i szosy, popieranie rolnictwa i przemysłu, toż to rzeczy, których pierwszorzędnej użyteczności nikt zaprzeczyć nie potrafi. Mówili, „że handel jest w upadku, że należy wznowić budynki publiczne, że potrzeba budowy portów i że trzeba zrobić tuzin innych rzeczy, puszczając w ruch prasę drukarską...”<sup>3</sup> — tak mówili w Stanach Zjednoczonych zwolennicy inflacji; jakże podobnie mówią u nas w półtora wieku później ludzie mianujący się zwolennikami radykalnej naprawy skarbu!

Obok zaś tych *pia desideria* dobrych patriotów, ale słabych ekonomistów, zabierają głos inni, odczuwający realniejsze potrzeby chwili: „Panowie, którzy działacie w bankach, macie stosunki z instytucjami przemysłowymi, wiecie lepiej niż ktokolwiek inny, czym grozi obecny brak znaków pieniężnych. Zwróćcie uwagę na to, zadzwońcie na alarm póki czas, póki bezrobotne tłumy nie wyjdą na ulice” — tak mówił dwa lata temu jeden z wybitnych polityków. Nie wątpię, że

---

<sup>3</sup> Roman Rybarski, op. cit., s. 119; Charles J. Bullock, *Essays on the monetary history of the United States*, London 1900.

dzisiaj, gdy klęska inflacji wysunęła się na czoło wszystkich zagadnień, ten sam polityk wolałby zaryzykować nawet wyjście tłumów na ulicę aniżeli dalszy zalew pieniądza papierowego; w swoim czasie jednak był wyrazicielem jednej z najpoważniejszych trosk, związanych ze zdeprecjonowanym pieniądzem: ciasnoty pieniądza, która pojawia się stale jako skutek inflacji w związku z tym, że tempo deprecjacji pieniądza jest szybsze od tempa wzrostu ilości środków obiegowych; przedstawiciele poszczególnych gałęzi produkcji natomiast nie zmienili zdania do tej chwili. Każde ścieśnienie kredytów PKKP, każdy nowy projekt podatkowy witany jest przez prasę, „popierającą naprawę skarbu za wszelką cenę”, całymi seriami ataków dowodzących jak na dłoni, że oto z tym nowym ministerialnym pomysłem (wskutek braku pieniędzy) kończy się polskie rolnictwo, polski przemysł, ba, Polska cała po prostu.

Taką opinię rozszerzają pisma wyrażające poglądy warstw posiadających. Pisma lewicowe mają inne troski. Tam zwielokrotnionym i potężnym echem odbija się każdy wysiłek każdego rządu o to, by zmniejszyć ilość urzędów i funkcjonariuszy, by zwolnić choć trochę tempo dodatków robotniczych i urzędniczych. A jest także i trzecia grupa pism, która z godnym lepszej sprawy przejęciem biada nad jednym i nad drugim. Strach przed głodem, po prostu głodem u jednych, obawa o zmniejszenie się zysków u drugich, troska o przesilenie społeczne, jakim grozi energiczna naprawa skarbu, sprzęgły się w solidarną trójcę. Przeciwstawia się ona powszechnemu niezadowoleniu ze stosunków obecnych, przeciwważa je i wprowadza społeczeństwo w stan niestałej równowagi, w stan bierności wewnętrznej i podniecenia zewnętrznego. Równie ostro krytykuje się bezradność rządu, jak i najśluszniesze zarządzenia, zdążające do zatamowania rzeki znaków pieniężnych, wlewających się bezustannie w społeczeństwo. Wszyscy pragną naprawy skarbu, ale mało takich, którzy chcą zastosowania środków jedynie do tej naprawy wiodących.

Słodki haszysz inflacji, nieograniczonej pomnażalności znaków pieniężnych wprowadza nas w senne odrętwienie. Sen to nie zawsze na wygodnym, częściej na przyciasnym łożu. Ale przeszkadza on jednak otrzeźwieniu i powstaniu na równe nogi decyzji. Nie ma w Polsce stronnictwa inflacjonistów, ale nie ma też zdecydowanych nie w słowach, ale w czynie wyraźnych przeciwników inflacji. I gdyby tak upadły przesady i animozje personalne, kto wie, czy w chwili, gdy rząd zacznie naprawdę energiczną akcję naprawy, która z konieczności pociągnie za sobą czasowy zastój i kryzys, kto

wie, czy nie pod sztandarem dalszej inflacji zjednoczyłyby się masy? Kto wie, czy nie za nią stanąłby tłum?

\*\*\*

Stwierdziłem, że obok krótkowzrocznego egoizmu także i trafne odczucie kryzysu ekonomiczno-społecznego, który nierozłączny jest z naprawą skarbu, dyktuje niejedne przy dzisiejszym stanie rzeczy stanowczo już niesłuszne słowa opozycji. W istocie kryzys w produkcji wskutek podatków, kryzys wśród warstw konsumentów wskutek wstrzymania mnożnika to objawy niewątpliwe z chwilą, gdy reforma waluty zacznie się urzeczywistniać. Okupi się ją niejedną krzywdą, niejedną ofiarą w życiu jednostek. Należy zapytać, na których warstwach społecznych powinien zaciążyć przede wszystkim ciężar naprawy? Odpowiedź dać tu może tylko teoria gospodarstwa społecznego. Należy jej szukać w analizie budżetów konsumpcji. Co z niej wynika? Niech przemówią cyfry. Według Ducpetiaux *Budgets économiques des classes ouvrières en Belgique* (1855) stosunek procentowy spożycia w przeciętnej rodzinie był następujący:

	<b>rodzina robotnicza</b>		<b>rodzina zamożna</b>	
Pożywienie	61	} 95	50	} 85
Ubranie	15		17	
Mieszkanie	10		12	
Opał i światło	5		5	
Narzędzia	4			
Wychowanie	2	} 5	5,5	} 15
Ubezpieczenia publiczne	2		3	
Zdrowotność	1		3	
Usługi osobiste	1		3,5	

Ankieta z roku 1907 Wydziału Statystyki Robotniczej Niemieckiego Urzędu Statystycznego (*Erhebungen von Wirtschaftsrechnungen Mittelbemittelter Familien im Deutschen Reich*, 1909) wykazuje taki podział procentowy wydatków:

Wyszczególnienie wydatków	Dochód roczny (w markach)		
	poniżej 1200	3000–4000	powyżej 5000
Pożywienie	<b>54,2</b>	<b>38,1</b>	<b>30,3</b>
Mieszkanie	<b>24,2</b>	<b>18,5</b>	<b>24,5</b>
Opał, światło	<b>9,2</b>	<b>14,3</b>	<b>14,9</b>
Odzież	<b>6,2</b>	<b>3,6</b>	<b>3,1</b>
Inne	10,4	25,8	36,8 <sup>4</sup>

Jasna jest rzecz, że poszczególne działy budżetu charakteryzuje rozmaita elastyczność potrzeb. W tabelkach powyższych tłustym drukiem starałem się wyróżnić te wydatki, których zmniejszenie jest szczególnie trudne (z zastrzeżeniem, że wysoki procent wydatków na mieszkanie i ubranie u warstw bogatszych mógłby ulec obniżeniu). Widzimy stąd, że część budżetu elastyczna, której zmniejszenie nie zagraża ruiną życia moralnego i materialnego, a która u warstwy robotniczej wyraża się jak 5–10 procent ogółu wydatków, dochodzi już na stosunkowo niezbyt wysokim poziomie zamożności niemal do 40 procent! Zestawienia podobne były robione wielokrotnie. Wykazywały zawsze bardzo podobne proporcje. Wziąwszy pod uwagę wszystkie zastrzeżenia, które mogłyby być zrobione ze względu na zmianę stosunków po wojnie, stwierdzić jednak muszę, że w ogólnych liniach budżety wyglądają i dzisiaj w Polsce podobnie.

Kryzys wysokich podatków i niskich płac — kryzys zastoju produkcji i bezrobocia, kryzys, słowem, braku pieniędzy zagraża wszystkim warstwom ekonomicznym polskiego społeczeństwa z chwilą energicznego podjęcia naprawy skarbu. Hasło „więcej pieniędzy!” musi być jednak porzucone przez wszystkich. Względy czysto ekonomiczne, nie wspominając już o społeczno-politycznych, mówią nam wyraźnie, że ciężar zagrażającego kryzysu powinny w przeważnej części wziąć na swoje barki warstwy posiadające. Te warstwy mają najwięcej do stracenia, one lepiej od innych ocenić mogą grozę położenia, one też odstąpić muszą pierwsze od wszechpolskiego „stronnictwa inflacji”. Taki tylko wniosek wydaje mi się logicznie dopuszczalny z przedstawionych przesłanek. Nie zmienię zdania, choćby mnie miano uznać za obrońcę idei bolszewickich na łamach konserwatywnego „Czasu”.

<sup>4</sup> Za: Eugen von Philippovich, *Grundriss der politischen Ökonomie*, Tübingen 1923, s. 635, 636.